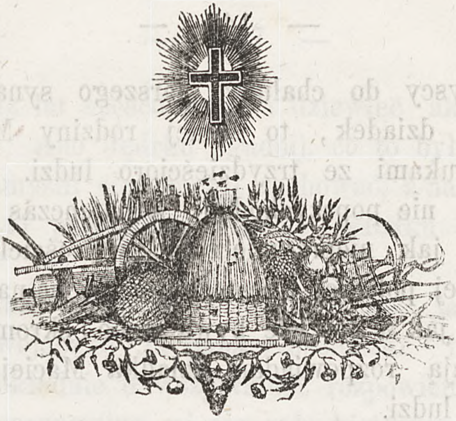
Tom VIII. Nr. 10.

1. Kwietnia 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Bitwa Racławicka.

Nie wiem czy kto z was moiściewy słyszał o stareńkim bardzo wieśniaku, który się zwie Maciej Zbroja, a cała wieś i okolica nazywają go dziadek stareńki. No jużci stareńki to człek, i daj Boże każdemu takiego wieku, a jeszcze takiego zdrowia i żywości. Dziadek Maciej jak sam powiada, liczy już sobie dziewięćdziesiąt i pięć lat, bo urodził się jeszcze za polskiego króla Stanisława Augusta, i odbył wojaczkę pod panem Kościuszką, i bijał Moskali także pod cesarzem Napoleonem, a także bijał ich pod jenerałem Skrzyneckim. Miły Boże! nie wiem ja czy jest kto drugi na świecie, coby tak pięknie i dokumentnie umiał rozpowiadać o onych bitwach i o onych czasach jak dziadek Maciej. Jeno poprosić go, a wnet zacznie gadać, a kiedy mówi, to jeszcze ze dwa ucha zdałyby się człeku do słuchania, tyle tam różnych ciekawości.

Dziadek Maciej ma dwoch synów, już starych gospodarzy, i córkę jedną, także już babulę, a ci wszyscy doczekali się już wnuków. Więc kiedy nieraz w niedzielę albo święto jakie

zejdą się wszyscy do chałupy starszego syna Jaśka, gdzie mieszka także dziadek, to samej rodziny Maciejowej jest z dziećmi i wnukami ze trzydzieścioro ludzi. Nie bez tego aby insi także nie poprzychodzili, a natenczas tak ciasno w izbie wielkiej, jak nieprzymierzając w kościele Najświętszej Matki i królowej polskiej Częstochowskiej na nabożeństwie odpustowem. Zaś jak w kościele bywa cicho i skromnie, i wszyscy uważnie słuchają rozpowiadań dziadka Macieja, który niby xiądz gada do ludzi.

Otóżto w ostatnią niedzielę zeszli się taksamo ludzie do Macieja, i niebawem zaczęła się taka rozmowa, którą ja wam na naukę co do słowa wypisałem.

Z początku był dziadek jakoś bardzo zadumany, a nawet smutny. Tymczasem schodzili się ludziska, gadali po cichu o różnych sprawach, aż nadejdzie Jędrek, żwawy parobczak a wnuk Macieja, który go lubi bardzo, bo Jędrek chłopak dzielny i rozumny jak mało. Otóż Jędrek sunie wprost do dziadka, pocałował go w rękę jak należy, i zaraz pyta:

— Mój złoty dziadeńku, widzi mi się, że nam dziś bardzo piękną historyę opowiecie

— A czemu tak myślisz? — zapytał dziadek rozweselony.

— Bo widzita dziadku — powie Jędrek — idzie już do wiosny, a na wiosnę to człek zawsze weselszy i weselsze myśli przychodzą mu do głowy, więc i gadka piękniejsza bywa jak w zimie.

— Prawda i to — mówi dziadek — na wiosnę wszystko się najwięcej rusza, i ja sam najwięcej wojaczki odbyłem na wiosnę, więc prawie na każdy dzień inną sobie przypominam.

— Zaś jaką sobie dziś przypominacie dziadku? — pyta Jędrek.

— Ho! ho! — rzeknie Maciej — dziś przypominam ja sobie bardzo dawne czasy, i na świecie już prawie nie ma ludzi, coby je zapamiętali. Toć ja wtenczas byłem jeszcze młody parobczak, ot, niby ty Jędrku, i anim ja pomyślał wtenczas, że dożyję aż do dziś dnia, i że wam będę rozpowiadał o tych czasach. Miły Boże! toć już nie ma ani jednego ze znajomych, co razem ze mną wtenczas byli. Kupa lat temu, powiadam

wam, toć to już lat sześćdziesiąt i dziewięć akurat, jak sobie wyrachowałem. Ano Jędrku zgadnij, co to były za czasy?

Jędrek zamyślił się, począł rachować, a na końcu zawoła:

— Ehe! to pewnikiem chcecie dziadku mówić o panu Kościuszce!

— Ano tak — mówi dziadek — toć ja pierwszy raz chodziłem na wojaczkę za pana Kościuszki. No posłuchajcie, to wam już dokładnie o wszystkiem rozpowiem, bo dziś właśnie najlepiej przypomina mi się cała historya.

Otóż szło mi wówczas na dwudziesty i szósty rok, i jakoś chcieli mnie tatuś nieboszczyk ożenić z Zośką Czorbówną, i ja też nie byłem od tego. Już tatuś zmówili się ze starym Walentym Czorbą, i chodziliśmy z wódką, i już na zapowiedzi mieli dawać, aż tu naraz wszystko inaczej się stało.

Był jakoś dzień piękny, i na wiosnę miało się niby dziś, także święto jakieś było. Po nabożeństwie stary pan kazał nas zwołać do dworu, a kiedyśmy tam przyszli, rzeknie tak do całej gromady:

— Pamiętacie moi ludzie, co ja wam to mówił trzy lat temu?

— Pamiętamy — odpowie gromada.

Zaś pan mówił dalej:

— Otóż widzicie, że wtenczas najjaśniejszy nasz pan i król polski ze sejmem i z całym rządem dał nam nowe prawo, które się nazywa Konstytucya Trzeciego Maja. Zaś w tej konstytucyi były dla wszystkich bardzo dobre prawa, aby cały kraj był szczęśliwy, a najlepsze były dla was wieśniaków. Były tam dla was różne wolności wielkie, jakich jeszcze nie mieliście. Na te wszystkie prawa przysiągł nasz pan i król, i wszyscy panowie przysięgli i cały naród. I było czas jakiś bardzo dobrze. Ale cóż się stało? Oto widzicie bezbożny Moskal nie chciał naszego szczęścia, ale sprowadził dużo wojska i kraj zniszczył i konstytucyę także, aby się ludziom dobrze nie działo. I tak ciągle nas męczą Moskale okrutnie i uciskają naród cały, że już więcej wytrzymać nie można. Otóż wszyscy Polacy, panowie i wieśniacy i mieszczanie postanowili wygnać precz Moskala i nie dać mu dłużej uciskać naród. Więc pan

Kościuszko jest najstarszym jenerałem, i ten rozkazał wszystkim, co mają zdrowe ręce, aby szli do niego bić Moskali, a za to dał wszystkim Polakom wielkie wolności, i uczynił tak, że już każdy wieśniak i człek pospolity jest równy każdemu panu największemu, i takie same ma prawa i wolności. Więc wszyscy są braćmi i dlatego wszyscy jednakowo mają bronić kraju i swoich wolności. Otóż moi chłopcy, kto zuch i człek tęgi, niech bierze za broń i ze mną idzie do pana Kościuszki.

— Ano wszyscy pójdziemy — krzykną młodzi parobcy i młodzi gospodarze.

Potem zaczął się gwar wielki, bo każdy chciał iść. Dopiero pan sam i wójt, a także starsi zaczęli wybierać, i tak stanęło nas aż pięćdziesięciu na boku, i ja też między nimi, bom już cale zapomniał o żeniaczce i wszystkiem, a jeno pójść chciałem na Moskala.

Wyszli także dworscy ludzie już uzbrojeni, a było ich coś ze dwudziestu, bo i kilku obcych było. Naonczas patrzymy iż nie ma broni więcej, zaś my mieli tylko pięstuki. Więc Waśko Facuł, co to był chłop ogromny i strasznie zajadły na Moskala, pyta pana dziedzica:

— Proszę wielmożnego pana, zaś czy dadzą nam broń?

A pan powie:

— Moi chłopcy, każdy z was ma broń najlepszą, bo ma kosę, a tą umie on już machać jak się patrzy. Ze strzelbą nie każdy dałby sobie rady, i więcej byłoby niedogody jak pożytku. Ale z kosą insza rzecz. Więc niech każdy biegnie po kosę, i drzewce niech weźmie dobre, na sześć stóp wysokie a na dwa cale grube. Najlepsze jest jesionowe, także lipowe albo osikowe. Kto nie ma takiego, to ja mu dam. Zaś do kuźni zejdźcie się, i niech kowal ogień rozdmucha.

Zrobiliśmy tak, a kiedy pan przyszedł do kuźni, kazał ogonki przy kosach naprostować, i potem kosę dwoma prętami żelaznemi przymocować do drzewca. Piorunem szła robota, a na wieczór już był każdy uzbrojony i gotów do drogi.

Jak tylko słonko zaszło, poszli i my z panem i z dworakami w drogę. Szliśmy całą noc, a nad ranem przyszliśmy do jakiejś wsi, co jest kilka mil od naszej.

Ranek był piękny bardzo, jeszcze mgła trochę była, ale już słonko zeszło. Staniemy przedewsią na drodze i czekamy, bo tak pan nakazał. Aż tu niebawem z daleka coś błyszczy i łyszczy niby kosy, jakaś okrutna gromada ludzi idzie prosto do nas. Patrzymy aż tu wojsko, a najwięcej wieśniaków z kosami jak my. Zaś na samym przodku jedzie na koniu jakiś chłop, w sukmanie białej krakowskiej i także w krakusce, ale wnet zdało mi się, że to nie prosty człek. Kiedy już blisko nadejdą, nasz pan zdejmie czapkę i woła: „Niech żyje Kościuszko!“ — a my za nim co się aż rozligało. Naonczas ów człek na koniu zdejmie także czapkę i woła: „Jak się macie bracia!“

I tak dowiedzieli my się wnet, iż ten chłop na koniu w prostej sukmanie to pan Kościuszko najstarszy jenerał. Więc bardzo nas to cieszyło, bo już my dokumentnie widzieli, że to nie bajki, ale że na prawdę pan Kościuszko wszystkich Polaków uczynił braćmi i równymi, i sam po chłopsku się ubierał, aby pokazać że cały lud wiejski kocha jak braci.

Więc niebawem poszliśmy do szeregu, każdy do swoich, więc strzelcy do strzelców, a my do kosynierów. I wnet dalej poszliśmy.

Nie pamiętam ja dobrze całej drogi, tylko tyle, żeśmy się ze wszystkiego okrutnie cieszyli. Pamiętam także, iż kiedy mnie starszy kosynier postawił w szeregu, patrzę ja na prawo, aż tu obok mnie jeden parobek ze wsi sąsiedniej, a zaraz dalej także po chłopsku ubrany i z kosą panicz z tejże wsi, bardzo zacny człek, który sam z dobrej chęci został prostym kosynierem jak my, a nawet nie był starszym. Iż mnie znał dobrze, zawołał zaraz:

— Jak się masz kolego!

Na to chwycę ja za czapkę i chcę się paniczowi po staremu pokłonić, i rzeknę:

— Proszę wielmożnego panicza dobrze!

Zaś on powie mi:

— Maćku słuchaj! a toć my wszyscy równi żołnierze, i mów do mnie k o l e g o, bo inacz nie uchodzi w naszem wojsku

polskiem. Tylko do starszego inaczej trza mówić, choćby on był twój znajomy dobry.

Jakoś mi się to najpierw dziwnie zdało, ale wnet przywykłem, i pokazało się, że ów panicz dobrze mówił.

Tak my zaszli aż do Racławic, a to jest wioska o kilka mil od Krakowa. Przed wioską przyleciał do pana Kościuszki jakiś człek na koniu i coś długo rozpowiadał. Wnet też rzeknie do nas pan Kościuszko:

— Ano bracia! Moskal jest tu, ruszmy się a dzielnie!

Zaraz poszli strzelcy naprzód po jednemu, niby drogę dla nas robić. Dalej hułany jak pójdą, to jeno kurzawa po nich została. Wtedy wyszliśmy na pagórek i patrzymy, aż tu przed nami okrutna moc Moskali, tak iż trudno końca dopatrzyć. Po jednej stronie stoją armaty, a Moskaliska strzelają z nich na nas, że aż strach. Ogień okrutny a huk jakby w piekle. Więc niebawem pan Kościuszko mówi do nas:

— Ano zuchy, trza zabrać te armaty!

Jak nie skoczymy, miły Boże! dwa pacierze nie zmówiłeś za ten czas, a już armaty były nasze, zaś Moskali nakosiliśmy niby trawy kupę ogromną. Trzeba wam wiedzieć, że się Moskal niczego tak nie boi jak kosy i kosynierów. Boć to ze strzelby pukniesz raz, ta i koniec, a zanim nabijesz na nowo, możesz dobrze wziąć po skórze. Zaś kosy nabijać nie trzeba, tylko machać nią dobrze, więc o dobre półtora sążnia skosisz Moskala, który z bagnetem musi o dwa kroki przyjść do ciebie. Bywało Waśko, co był chłop ogromny, jak nie zawinie kosą w około, to i kilku naraz Moskali obłata, że rzucają broń i w nogi który może.

Tak też było pod Racławicami. Choć Moskali taka kupa była, że po kilku szło na jednego naszego, niebawem zmykali który jeno żyw, aż się kurzyło. Pan Kościuszko bardzo rad był wszystkim, a najbardziej kosynierom, bo taki my najwięcej pomogli do zwycięztwa.

Toć kiedyśmy poszli na armaty, był między nami wieśniak pewien Grzegorz, i drugi waleczny kosynier Głowacki. Ci dwaj szli naprzód, i każdy sam jeden zdobył armatę. Grzegorzowi jeszcze kula nogę urwała, więc dowlókł się i siadł na armatę.

Przybiegł do nich pan Kościuszko, i ucałował każdego, i mówił:

— To mi to zuchy!

Także każdego z nich starszym uczynił, choć to byli prości kmiecie jak ja, bo w polskiem wojsku każdy kmieć waleczny mógł zostać oficerem i panem.

Otóż moi kochani ta wojna była 4 kwietnia w roku pańskim 1794, więc za dni kilka będzie temu właśnie sześćdziesiąt i dziewięć lat. Zawsze dobrze przypomina mi się ten dzień, bo ja wtenczas pierwszy raz widziałem pana Kościuszkę i pierwszy raz biłem się z Moskalami za nasz kraj kochany i za naszą świętą ziemię!

Aż łzy stanęły dziadkowi w oczach na te słowa. Wszyscy słuchali uważnie, a już najbardziej Jędrek i insi parobcy, którym się bardzo podobało opowiadanie.

Dziadek rad był, że go ludzie pilnie słuchają, więc rozpowiadał im dalej o panu Kościuszce, o Grzegorzu z pod Racławic i o Głowackim. Żałuję bardzo, że już nie ma miejsca, bo chciałem wam to wszystko wypisać. Naostatek opowiadał dziadek różne stare piosnki o panu Kościuszce i Grzegorzu, a także o parobkach co szli na wojnę racławicką, a tę śpiewają jeszcze ludzie po wsiach w taki sens:

Stara śpiewka.

Śnieg na dworze, na łące
Traw niéma,
Ostrzy kosę dziad stary
Choć zima.
Chłopcy mówią do niego
Śmiejący:
— Zaś dziadulu wy straśnie
Gorący,
Bez kożucha mróz ziębi
Człowieka,
A wam trawę już słonko
Przypieka.
— Oj nie trawę dziś kosić —
Dziad powie,
Ale u was to ciemno,
Jest w głowie,
Ale u was to w sercu
Jest zima,
Więc też u was i kośby
Dziś niéma.
Chłopy silne jak dęby
A głupie,
Siedzą marnie za piecem
W chałupie,
A tam kośby i pracy
Bez miary,
Niema u was odwagi
Ni wiary.

Splunął dziadek i czapkę
Nacisnął,
Potem kosą ostrzoną
Zabłysnął,
Potem krzyknął: won tchórze
Za piece,
A ja jeden choć stary
Polecę.

Chłopcy długo ze sobą
Radzili,
Potem wszyscy wraz kosy
Ostrzyli,
Potem wszyscy na kośbę
Wraz wyszli,
Ale jeszcze do domu nie
Przyszli.

Stanisław Reszka.

W pewnej wsi, ale w której, tego już ludzie nie pamiętają, ani stare xięgi o tem nie piszą, dosyć że w naszej Polsce, i to w tej części, która dziś zostaje pod Prusakiem, mieszkał sobie niezamożny, ale poczciwy kmieć nazwiskiem Reszka ze swoją żoną, także potulną i pracowitą kobieciną. Nie mieli ci oni wprawdzie wielkiego majątku, ale zato pobłogosławił ich Pan Bóg jedynakiem synem Stanisławem, który dla obojga wielką był pociechą i jedyną nadzieją na starość. Zmyślny bo też to był i sprytny ten Stanisław jak rzadko, a wszyscy co go znali, dobrą i szczęśliwą wróżyli mu przyszłość. Maleńkim jeszcze będąc chłopcem rwał się tak do xiążki, jak inni nieprzymierzając do batożka lub konia, a że to na owe czasy nie było jeszcze tak szkółek po wsiach jak teraz, to mały Staszek dopóty męczył i nudził wiejskiego organistę, dopóki go tenże nie nauczył pisać i czytać, i od tego czasu nie było go już można i oderwać od xiążki. Niebawem też nauczył się pojętny chłopczyna służyć do Mszy świętej, i zaczął co dnia regularnie xiędzu dobrodziejowi w kościele usługiwać, za co go tenże bardzo polubił i miał od tego czasu na niego baczne oko i pozór, a gdy w małym chłopcu odkrył wielką zmyślność i chęć do nauki, umyślił bądź co bądź posyłać go do szkoły.

Na tronie polskim siedział wtedy Zygmunt August, wielce rozumny i dobry monarcha, który panując spokojnie, zachęcał i namawiał wszelkiemi sposobami swój naród do nauki, i nie-

bawem też cała Polska słynęła z mądrych i uczonych ludzi, a wiek ten nazywają i po dziś dzień *wiekiem złotym*.

Dlatego też przyuczył xiądz dobrodziej małego Stanisława Reszkę jeszcze trochę u siebie, a potem sam coś dopomógł, resztę zaś złożyła gromada, i wysłano małego chłopca do szkoły do Krakowa. Nie mając żadnego utrzymania, usługiwał Stanisław synom bogatszych rodziców, i tak się oszczędnie obchodził, że jeszcze co miesiąca biednym swym rodzicom małe posyłał wsparcie. Przytem uczył się tak pilnie, że mu nikt nie mógł wyrównać, a gdy parę lat minęło, pokończył Stanisław najwyższe szkoły, i został wyświęcony na xiędza.

Radość bo też to była radość, nie tylko dla rodziców ale i dla całej wsi, kiedy po kilku latach młody Reszka już jako xiądz powrócił do wsi rodzinnej i tam pierwszą swoją mszę odprawił. Ale radość ta nie trwała długo, bo młody Stanisław Reszka musiał w krótkim czasie powrócić nazad do Krakowa, gdzie też przy tej najwyższej szkole, którą dopiero sam niedawno ukończył, został nauczycielem. Sława o jego wielkiej mądrości rozniosła się po całej Polsce, i najwięksi panowie mieli już wtenczas dla niego wielki szacunek i poważanie.

Odbywał się pod owe czasy w mieście Trydencie we Włoszech *sobór* czyli zgromadzenie wszystkich biskupów z całego świata, na którym to soborze miano potępić nowo powstałą naukę Lutra i innych heretyków, których to namnożyło się podówczas we wszystkich krajach co niemiara, i ztąd też wielkie były wszędzie swary i niezgody, a nawet i krwi rozlewy. W Polsce tylko panowały pokój i zgoda, i z tej racyi miała Polska tyle świetności i potęgi, że papież rzymski zaprosił Polaka Stanisława Hozyusza biskupa Warmińskiego, ażeby na tym soborze był starszym, i miejsce samego Ojca świętego zastępował.

Słynny na świat cały ze swojej mądrości Stanisław Hozyusz przejeżdżając przez Kraków, prosił przełożonego najwyższych szkół, aby mu dał jakiego zdatnego i rozumnego xiędza na powiernika i sekretarza. Wtedy to przedstawiono mu Stanisława Reszkę jako najrozumniejszego człeka, i biskup Hozyusz wziął go ze sobą na sobór do Trydentu.

Kiedy się w r. 1563 ten sobór zakończył, powrócił i Reszka nazad do Polski, a biskup Hozyusz poznawszy w nim człeka rozgarnionego, zrobił go od razu kanonikiem Warmińskim. Na tym urzędzie zostawał Stanisław aż do śmierci Zygmunta Augusta, a kiedy naród polski obrał sobie na króla Henryka Walezego het aż z francuzkiej ziemi, wysłano z wieloma innymi panami także Stanisława Reszkę do Francyi, ażeby tego nowego króla do Polski sprowadzić. Król Henryk poznawszy go bliżej bardzo go polubił, a kiedy zjechał do Polski, zrobił go swoim sekretarzem i powiernikiem. Niebawem jednak, jakeście to musieli czytać w historyi polskiej, zrobiło się temu królowi żal za krajem francuzkim, i temu też umyślił sekretnie uciekać nazad do Francyi. Z tym swoim zamiarem zwierzył się król Henryk między innymi także i Reszce, i namawiał go aby opuścił swoją ojczyznę i z nim razem jechał do Francyi, gdzie go obiecywał zrobić biskupem, i obsypać go różnemi dostojeństwami. Ale Stanisław Reszka odrzekł na to, jak na prawdziwego dobrego Polaka przystało:

— Choćbyś mnie miłościwy Panie nawet i samym królem zrobił w twojej Francyi, tobym jeszcze mojej ojczyzny tak potajemnie nie opuszczał, a i ty królu wolałbyś zostać między nami, aniżeli nas porzucać.

Po wyjeździe króla Henryka z Polski, wybrali sobie Polacy na króla swego Stefana Batorego; tenże zrobił znowu Stanisława Reszkę swoim sekretarzem, a później gdy poznał wielkie jego zdolności, powierzył mu nawet wychowanie swojego synowca Andrzeja. Od tego czasu spadały na Reszkę jakby z deszczem coraz większe zaszczyty i honory. Bo kiedy wypadła pilna jakaś sprawa do Rzymu, wysłano znowu Stanisława do Ojca świętego Syxtusa V, a gdy się tam doskonale spisał, wyprawiono go znowu po raz drugi w innej sprawie do Ojca świętego Grzegorza XIII, i z tej racyi pozyskał sobie nawet w Rzymie dla swojej wielkiej mądrości i wymowy wielki szacunek i poważanie.

Umarł nareszcie i Stefan Batory, a Polacy powołali na swego króla Zygmunta III, a gdy tenże zjechał do Polski, objął znowu Stanisław u niego urząd sekretarza. Król Zygmunt

przekonawszy się sam o wielkiej jego zdatności, o której tyle już słyszał z opowiadania, a zważywszy przytem liczne jego zasługi, które on dla swojej ojczyzny położył, umyślił za to go wynagrodzić, i pokazać mu swoją i całego kraju wdzięczność.

Owóż woła on razu pewnego Stanisława Reszkę do siebie, i przy wielkiem zgromadzeniu xięży, panów i senatorów, tak się odezwie do niego:

— Kiedym jeszcze był w Szwecyi, w tym zamorskim kraju, słyszałem już wiele dobrego o tobie xięże Stanisławie, a dowiedziawszy się teraz, że pochodzisz z wieśniaczego stanu, poważam cię jeszcze bardziej za twoje przywiązanie i zasługi około rodzinnego kraju twego. Małać to wprawdzie różnica między chłopem a panem, jeżeli oba zarówno kochają swoją ziemię, i pracują około jej dobra, ale ponieważ słyszałem, że niektóre złe języki robią ci wymówki, że nie jesteś szlachcicem, dla tego też mówię ci, że Polska umie nagradzać wszelkie szlachetne czyny, i od dzisiejszego dnia jesteś sobie szlachcicem, i niech to będzie dla ciebie jeszcze większym zaszczytem, że ty przez swoje czyny szlachectwo sobie zasłużyłeś.

Po tych słowach skłonił się nisko Reszka na znak podziękowania królowi, poczem mu tenże ręce uścisnął, a za przykładem króla i reszta panów uściskali kolejno Reszkę jak brata.

Jednakże nie koniec na tem, bo w dodatku do szlachectwa zrobił go Zygmunt jeszcze dziekanem Warmińskim, i od tego czasu był Reszka w większem znaczeniu i poważaniu, aniżeli nie jeden z najbogatszych panów.

Pośród tych godności nie zapierał się jednak Reszka nigdy swojego niskiego stanu i pochodzenia, bo rodzicom swoim posyłał zawsze dostateczne wsparcie, że już nie potrzebowali ciężko na kawałek chleba pracować, a kiedy czasem do niego w odwidziny zjechali, sadzał ich zawsze pomiędzy innymi dostojnymi gośćmi do stołu na pierwszem miejscu, chociaż byli w siermięgach poubierani.

Niebawem jednak wypadła znowu pilna potrzeba do Rzymu, a to w sprawie kanonizacyi świętego Jacka, od którego to śmierci już czterysta lat upłynęło, a dopiero teraz po sprawdzeniu wszystkich cudów miano go uznać za świętego. Nie

było więc nikogo innego w całej Polsce sprawniejszego do tego poselstwa, jak Stanisław Reszka, który już dwa razy był w Rzymie, i dla tego to wysłano go znowu po raz trzeci do Ojca świętego Klemensa VIII, na którem to poselstwie nową sobie zjednał sławę i wziętość. Gdy Reszka powrócił do Polski i przywiózł wiadomość, że Jacek nasz rodak został już świętym, to mało go wszyscy na rękach nie nosili, ciesząc się wielce z tego, że ta sprawa została już raz ukończoną.

Jednakże nie długo odpoczywał Reszka po tem poselstwie, bo wnet znowu wysłał go król Zygmunt het aż do Włoch do Neapolu w sprawie *sum neapolitańskich.* Trzeba zaś pierwej wiedzieć, co to były te *sumy neapolitańskie.*

Owóż jak wiadomo, że kiedy owa królowa włoszka Bona, matka Zygmunta Augusta wyjechała z Polski, zabrała także ze sobą siła wozów obładowanych różnemi skarbami i wywiozła to wszystko gdzieś aż het do Neapolu. Wielka ztąd stała się Polsce szkoda, i dla tego też prawował się naród polski długo o te skarby, ale jak człowiek swego ucha nie widzi, tak też i Polska nie widziała już więcej tych skarbów, bo one przepadły na zawsze jakby kamień w wodę rzucił. Do dzisiejszego dnia nie została jeszcze ta sprawa ukończoną, i skarby te nazywają się sumy neapolitańskie. Dla tego weszło to już w taką gadkę, że jeśli kto się przechwala, że ma jakieś tam wielkie skarby albo spodziewa się jakiegoś spadku, o którym nikt nic nie wie, to mówią o nim, że ma sumy neapolitańskie.

Owóż i Stanisław Reszka wysłany został od króla Zygmunta do Neapolu, aby się tych skarbów dopominał, ale widać, że taka już była wola Boża, aby więcej do kraju rodzinnego nie wrócił, bo umarł tam w Neapolu w obcej ziemi dnia 3 kwietnia 1600 roku, a więc dzisiaj temu jakby uciął lat dwieście sześćdziesiąt i trzy.

Imię jego było głośne nie tylko w całej Polsce, ale nawet i tam we Włoszech, dla tego też kazał mu Ojciec święty własnym kosztem bardzo wspaniały postawić nadgrobek.

Takie to było życie i taki koniec Stanisława Reszki, który pod słomianą urodził się strzechą, ale za swoje nauki i miłość ku ojczyźnie dosłużył się szlachectwa i innych wielkich za-

szczytów, którychby mu nie jeden rodowity pan pozazdrościł. Tak to Polska umiała cenić i nagradzać zasługi każdego bez różnicy stanu i pochodzenia, z czego możecie poznać moiściewy kochani, że nie tylko orężem ale i nauką można się przysłużyć swojej ojczyznie. Przykładajmyż się więc sami i napędzajmy nasze dziatki do nauki, do której aby was ten przykład zachęcił, na to go spisał

Jacenty z Magierowa.

Piękne przykłady.

Gromada w Haczowie.

W obwodzie Sanockim jest bardzo wielka i piękna wieś Haczów, zaś pan dziedzic tamtejszy jest człek bardzo zacny, a cała gromada taka uczciwa jakiej daleko poszukać. Posłuchajcie, jak się tam wszystko dzieje, bo warto sobie zawsze spamiętać dobry przykład.

Dwór tamtejszy jest właśnie jak szkoła. Codziennie zgromadzają się tam dziewczęta ze wsi na naukę, uczą się szyć i haftować. Teraz to już małe dzieci szyją koszule, bieliznę dla kościoła, a nawet haftują piękną komżę dla xiędza proboszcza. Tak codzień kilka godzin uczą się i pracują, a potem bawią się na dziedzińcu. We czwartki, niedziele i święta zgromadzają się chłopcy i dziewczęta z całej wsi do dworu, a bywa ich nieraz dwieście. Natenczas w największym pokoju, gdzie jest biblioteka pana dziedzica, ustawiają ławki, dzieci zasiadają, a pan dziedzic, pani dziedziczka, i zacna panienka ich córka, nauczają o religii, o uczciwem życiu, historyi naszego narodu i naszej świętej ziemi.

Oprócz tego jest także szkoła trywialna we wsi, gdzie chłopaków uczy pan nauczyciel. Piękny murowany budynek na tę szkołę darowali państwo, i pod ich opieką jest ciągle ta szkoła.

Zaś nie tylko dzieci uczą się tam rozumu i uczciwości. Pan dziedzic kupuje wszystkie gazety polskie i xiążki dobre nie tylko dla siebie, ale także dla gromady. Codziennie wieczorem po pracy i po dzwonieniu na Anioł Pański zgromadzają się w szkole gospodarze i dorostki, a tam czyta im pan nauczyciel gazety i xiążki, aby wiedzieli o wszystkiem co się dzieje na Bożym świecie, aby nie potrzebowali bałamucić się różnemi plotkami, jakie pijaczyny i obieżyświaty roznoszą między ludzi, namawiając ich do złego i do grzechów różnych.

Do niedawnego czasu był jeden xiądz proboszcz w Haczowie, bardzo zacny dobrodziej, który wszelkiemi siłami pracuje dla dobra ludu i dla jego zbawienia. Ale ponieważ parafia jest bardzo wielka, bo znacznie więcej jak dwa tysiące ludzi do niej należy, więc państwo dziedzice razem z gromadą złożyli się, i poprosili u konsystorza o drugiego jeszcze xiędza wikarego.

Ot, nie gadając długo powiem wam moiściewy, że takiej gromady i takiej wsi to daleko szukać. Taka tam pobożność, uczciwość i pracowitość, taka zacność, iż człowiek patrząc na to sam musi być lepszym i poczciwszym. Jest ona na prawdę pięknym przykładem, jaki wszystkie gromady powinny naśladować.

Zaś może chcecie wiedzieć, jakim sposobem stała się ta gromada taką zacną i przykładną, a także bogatą, bo każdy ma tam dość chleba i nędzy nie cierpi. Powiem wam na to tak. Od dawnych czasów bywały w Haczowie cztery karczmy, na których siedzieli żydzi i wódkę przedawali, a lud wiejski pił po staremu, choć w Haczowie mniej zawsze było pijaków jak indziej. Zaś pan dziedzic naradził się z xiędzem proboszczem i tak uczynił. Żydów oddalił ze wszystkich karczem, a arendę puścił trzem najpobożniejszym, najpoczciwszym i najtrzeźwiejszym gospodarzom. Ci gospodarze płacą panu 300 reńskich mniej, jak dawniej płacili żydzi, ale zato nie wolno im pozwalać żadnych pijatyk ludziom, ani także wesela żadnego nie wolno przyjmować do karczmy. Pan dziedzic stracił na tem, bo to co daje na szkołę i na kościół więcej wynosi jak wszystka arenda. Ale zato uchronił dusze ludzkie od grzechu

i potępienia, zrobił całą gromadę zacną i trzeźwą, która tym sposobem dorobiła się mienia dobrego i nabrała rozumu. Niechże mu Pan Bóg najwyższy i najświętsza Matka Boska Królowa Polska błogosławi, a także xiędzu proboszczowi i pani dziedziczce i zacnej panience ich.

Moi ludzie kochani, ja się tylko modlę do Pana Boga, aby was zachęcić raczył do naśladowania tak pięknego przykładu, aby u nas niebawem wszystkie gromady były takie zacne i pobożne. Wtenczas dopiero będzie szczęście i błogosławieństwo Boże na naszej świętej ziemi polskiej, wtenczas Bóg najwyższy ulituje się nad nami i nad naszą ukochaną Ojczyzną.

Rady gospodarskie.

Jak najlepiej wyhodować wielką cebulę?

Idzie już ku wiośnie, więc nie zawadzi gosposiom dobra rada na sadzenie cebuli. Jużci każden wie, że cebula nie mało znaczy w ogrodowiznie, a w niektórych okolicach to ci prawie jeno samą cebulę sadzą po ogrodach, i potem handel nią prowadzą. No wiem ja także, iż każda gosposia setnie lubi owe wianki ogromnej cebuli, co to nieraz uwierzyć i zmiarkować trudno jak ona taka wielka wyrosła. Każda też radaby mieć sposób na hodowanie takiej cebuli, bo po ogrodach zazwyczaj rodzi się znacznie mniejsza, nieraz jak orzechy mała, choć to i grunt piękny, i zgnojony należycie jak się patrzy. Otóż moje kobiety, ja wam zaraz ten sekret opowiem.

Małe cebulki, jakich już nie używacie przy gospodarstwie, trzeba poukładać w izbie blisko pieca, aby się prawie całkiem zeschły, ale żeby się nic nie popsuły. Otóż na wiosnę sadzić trzeba te cebulki na gruncie, który nie jest świeżo zgnojony. Cebule wyrosną śliczne, ogromne i silnego smaku, a naci całkiem nie będą miały, bo wszystko pójdzie w owoc.

Jak sól szkodzi mleku?

Czytałem niedawno w gazetach, iż pewien dobry gospodarz przekonał się, jako sól szkodzi mleku. Przekonał on się, iż dawać dużo soli nie można krowom, bo inaczaj mleko bywa bardzo wodne. Więc próbował na różne sposoby, i pokazało się, że krowom nigdy więcej nie trzeba dziennie dawać soli jak cztery łuty. Także jak dać raz więcej soli, to się nabiał zepsuje za kilka dni, i będzie mieć ciągle więcej wody jak dawniej.

RÓŻNOŚCI.

Poprawka. Pisał do mnie Mikołaj Roga taki list:

W numerku siódmym Dzwonka, gdzie jest opisanie poświęcenia kościoła w Żabińcach, zaszła pomyłka, a ta jest, że po obu stronach wielkich drzwi we framugach nie ma figury świętego Wojciecha, tylko świętego Stanisława i świętego Antoniego. A że w naszym Dzwonku same tylko prawdy dzwonią, przeto upraszam bardzo o przebaczenie pomyłki i o wydrukowanie tej poprawki.

Mikołaj Roga,
włościanin ze Żabiniec.

Dobry przykład. Warszawa, stołeczne miasto w Polsce, jestto miasto ogromne, znacznie większe od Krakowa i Lwowa. Ludzi tam także moc okrutna, bo coś sto kilkadziesiąt tysięcy. Otóż myślałby każdy, że tam hałajstry różnej dostatek, więc pijaków i innych. Tymczasem piszą z Warszawy, iż tam pijaków to już całkiem nie ma. Jeżeli się czasem i to bardzo rzadko jaki pijak pokaże na mieście, to ludzie przypatrują się jemu jakby dziwowisku. Tam już ludzie nie mogą zrozumieć, jak może człowiek robić ze siebie takie bydle, i tak Pana Boga obrażać. Tylko żołnierze moskiewscy, co tam są, upijają się jak zwierzęta, no, ale to rzecz dawna, a o Moskalach wie już świat cały jacy oni ohydni. Zaś Polacy cale inaczej robią, i pijaka nie znajdziesz tam na kilka tysięcy ludzi jednego. A co moi mili, czy to nie dobry przykład?

Pożar. Dnia **16** marca wieczorem wybuchł pożar w Czystohorbie, w obwodzie sanockim, i spalił gospodarkę tamecznego włościanina Iwana P. Biedaczyna stracił on wszystkie budynki, zboże wszystko i część bydła, a cała szkoda jest na **741** reńskich nowych. Także nie wiedzieć jeszcze z pewnością, jaka była przyczyna ognia.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: E. Winiarz.